

Teksty Drugie 2003, 2-3, s. 181-191



Bez przydziału / VIII /

Janusz Sławiński

Fragmenty

Janusz SŁAWIŃSKI

Bez przydziału /VIII/

*

Dziś przyśniła mi się gra słów: *w y r z e c m y ś l t o w y r z e c s i ę m y ś l i*. Powiedział to we mnie ktoś nieokreślony, ale zapewne mądrzejszy ode mnie, gdyż kalambur nie okazał się potem nonsensowny lub beznadziejnie trywialny, jak bywa w przeważającej części tego rodzaju przyśnień lingwistycznych, które mnie często spotykają. Czyż nie jest tak, że wypowiadając coś wobec kogoś, tracę to bezpowrotnie? Idea, pojęcie, koncept – małe odkrycia czy znaleziska, do których przywiązuję wagę, skrywane w milczeniu niczym w sejfie, pozostają moje; mogę się nimi sekretnie cieszyć niby jakiś Harpagon; gdy je odsłaniam w wysłowieniu, tym samym wyzbywam się ich (w przypiływie szczodrości? lekkomyślnie?), rzucam na pastwę losu, czyli na lup cudzych zachłanności; niech sobie inni robią z nimi, co zechcą, czyniąc je ofiarami mylnych rozumień, przekręceń i odkształceń – ja już się ich wyrzekłem, własnowolnie albo sprowokowany do tego czy przymuszony.

11 XI 1988

*

Komunikacja słowna zawsze dokonuje się „w przybliżeniu”, „z grubsza”, pośród różnorodnych nieostrości, niedokładności, niejasności, wieloznaczności, niedopowiedzeń, zbytecznych nadwyżek mowy, niecierpliwego pośpiechu. Czy jest do wyobrażenia, żeby mogło być inaczej? W tym względzie sytuacja kłótni małżeńskiej nie różni się zasadniczo od sytuacji uniwersyteckiej dysputy. Teorie komunikacji abstrahujące od tych jej naturalnych przymgleń i okulańców dotyczą w gruncie rzeczy jakiegoś idealnego aktu porozumiewania się, którego nikt na tym świecie nigdy nie widział i nie zobaczy – kierowanego przez wolę zgłębiania pełnej prawdy, bezwarunkową szczerość jego uczestników. konsekwentną racjonalność ich myśli i poszanowanie dla argumentacji poddanych wyłącznie prawdom logiki. Są to teorie komunikacji niemożliwej (a i strasznej, gdyby ktoś mimo wszystko

Fragmenty

wyobraził sobie jej realność), mające charakter normatywnej utopii, pozbawione natomiast wartości deskrypcyjnej.

15 VII 1984

*

Mówienie i pisanie. Znanie każdemu doświadczenie: oto wygłaszam „bez kartki”, swobodnie improwizując, wykład lub przemówienie. Jestem z siebie kontent, mam poczucie, że wszystko mi wychodzi, że moja mowa jest płynna, jasna, trafna i sugestywna – spotyka się z uwagą i uznaniem słuchaczy, a to zwrótnie uskrzydla mnie jeszcze bardziej. Znajduję się we władzy samoczynnie niejako rozwijającego się procesu mówienia, który pozwala mi omijać z łatwością wszelkie utrudnienia i pułapki językowe. Mówię tak, jak gdybym fruwał w powietrzu, które nie stawia żadnego oporu – niesiony jego przyjaznymi prądami, pewnie i dokładnie. Wydaje mi się oczywiste, że gdybym odczytywał słuchaczom tekst uprzednio napisany, nigdy nawet nie zbliżyłbym się do takiego powodzenia.

Gdy jednak potem wygłoszona wypowiedź zostanie na nieszczęście spisana z taśmy magnetofonowej, a ja otrzymuję zapis do korygującej lektury – przychodzi moment prawdy tym przykrzejszej, im większe uniesienie towarzyszyło mi przedtem w trakcie mówienia. Nie do wiary, że to z moich ust wyszły te wszystkie bzdury i idiotyzmy, które teraz ze wstydem odczytuję; że to ja, zamiast po ludzku mówić, nieporadnie coś bełkotałem, zlepiając byle jak niezrozumiałe strzępy zdań; że to ze mnie płynął ten potok słów kojarzonych bez ładu i składu. To, co wydawało się odkrywcze, zapisane okazuje się płaskim banałem. Sformułowania, z których byłem zadowolony, teraz jawią mi się jako zupełnie pokraczne. Użyte bez zastanowienia metafory doprowadzają do rozpaczliwej swojej nietrafności; jakże mogłem pozwolić sobie na takie dziwolągi!

Zapis pokazał prawdziwą naturę ustnej wypowiedzi. Poddana jego próbie, zobaczona w świetle, które z niego płynie, przypomina po prostu majaczenia, z którymi nie bardzo wiadomo, co dalej robić. Grzęzę w nich niby w jakimś mule. Nie mogę żywić jakichkolwiek złudzeń; czeka mnie praca od samego początku. Jeśli dalej uważam, że mam coś do zakomunikowania, muszę podjąć wysiłek napisania tekstu, w którym słowa będą układać się w spójne zdania, a zdania – w spójny tekst, wykalkulowany zgodnie z wymogami sensu i składni.

Mówienie jest beztróskim śnieniem języka, pisanie – jego męczącą jawą.

15 III 1990

*

Powiada się, że głównym celem dialogu jest porozumienie osób w nim uczestniczących. Sam więc byłby działaniem służebnym, dającym się traktować czysto instrumentalnie. Natomiast stan porozumienia jawiłby się nam jako wartość istotna sama przez się – nie tylko pożądana, ale też ostateczna i bezwzględna. Dialog okazywałby się tym bardziej pomyślny, im krótszą i mniej skomplikowaną

<http://rcin.org.pl>

Sławiński Bez przydziału

drogą wiódłby partnerów do osiągnięcia tego stanu. Taka jest ekonomia wszelkich rokowań.

Ale na zależność między dialogiem i porozumieniem można przecież spojrzeć inaczej. Dopuścić myśl, że dialog (czyli proces porozumiewania się) nie ma jedynie charakteru usługowego, lecz może również wystąpić jako samodzielna wartość, niewymagająca dodatkowych legitymizacji – ważna przez sam fakt swego pojawienia się. Wtedy jednak dopomina się natychmiastowego sformułowania myśl następująca: dialog i porozumienie mogą być wartościami, które pozostają między sobą w relacjach konfliktu i współzawodnictwa. Porozumienie bowiem – co łatwo pojąć – uśmierca dialog, stanowi jego naturalny kres. W miarę jak rozrasta się sfera osiąganego porozumienia, dialog więdnie i usycha – staje się coraz mniej potrzebny. Natomiast podsyca go i ożywia wszystko, co utrudnia porozumienie: wszelkie przeszkody i napięcia, które wiążą się z powracającym zróżnicowaniem punktów widzenia osób dialogujących. Jeśli więc uznawać dialog za wartość autonomiczną, to okazuje się, że jest on tym fortunniejszy, im bardziej oddala świetlaną przyszłość porozumienia.

Być może do opozycji tych dwóch pojmowań dialogu sprowadza się jedna z zasadniczych różnic między nauką twardą a humanistyką...

15 III 1985

*

Teoria werbalnej komunikacji zawsze podlegała swoistej *political correctness*, jakkolwiek nikomu, kto się nią zajmował, nawet w głowie nie powstało, że tak to mogłoby kiedyś zostać nazwane. Zakłada ona cierpliwą, pełną dobrej woli, obojętną wyrozumiałości i uprzejmości kooperację partnerów porozumiewania się, którzy pragną usilnie rozumieć się nawzajem po to, by móc na fundamencie tego rozumienia oprzeć wolne od nieporozumień – porozumienie.

Konstruując taki bukoliczny model, wyklucza zarazem z pola zainteresowań (dziś widzimy, na ile bezzasadnie) to wszystko, co stanowi „antymaterię” komunikacji i jako takie domaga się objaśnień. Nierozumienie cudzej wypowiedzi, nieporozumienie między partnerami, uparte staranie – jednego z nich lub obu naraz – by do porozumienia nie doszło, a wreszcie odmowa uczestniczenia w procesie porozumiewania się – są te ż pełnoprawnymi składnikami (strategiami czy taktykami) tego procesu nieraz wręcz dominującymi, trudno więc pojąć, dlaczego traktuje się je wyłącznie jako marginesy komunikacji „poprawnej”, jako sferę jej nie stosowności, o której nie wypada bezstronnie rozprawiać.

25 X 1986

*

Pamiętam surową reprimendę Juliana Przybosia (czy ja w ogóle mogłem żyć tak dawno temu?), kiedy o wierszach któregoś z młodych poetów napisałem, że wzywają one czytelnika do aktywnego nierozumienia. Ostatecznie wybaczył mi,

<http://rcin.org.pl>

Fragmenty

uznając, że był to jedynie kiepski żart. A przecież traktowałem rzecz najzupełniej serio. Już od dziecięcych czytań odpowiadał mi bardziej stan nierozumienia niż to, co rozumiałem. Lubiałem ten stan, gdy znajdując w czytanych tekstach słowa, których znaczenia nie chwytałem, obcojęzyczne terminy, dziwne metafory, zagadkowe odniesienia do czegoś, co nie było mi znane, mogłem swobodnie gubić się w domysłach i buszować w zbożu niepojętego. Pragnąłem w nierozumieniu pogrążyć się tak długo, jak tylko się dało; nie było ono dla mnie negatywnością – etapem lektury, który należy śpiesznie przezwyciężyć, by dojść do pozytywności rozumienia, ale właśnie swego rodzaju pozytywnością, która może cieszyć sama przez się. Wcale nie życzyłem sobie, by zatriumfowała zrozumiałość; czerpałem satysfakcję z nierozumienia, gdyż zawierało w sobie nieokreśloną obietnicę, podsycało nadzieję, że w czytaniu wydarzy się jeszcze coś nowego, trudnego do przewidzenia, a rozumienie kładło kres takiej nadziei.

To upodobanie pozostało we mnie trwale żywe i chętnie mu ulegałem. I nadal ulegam. Pociąga mnie nierozumiałość przekazywanych znaków, gdyż mam poczucie, że zakłada ona za każdym razem indywidualnego adresata; do niego jest skierowana, a on musi sobie na nią zasłużyć. Natomiast zrozumiałość jest osiągalna, (potencjalnie) dla wszystkich – sprawiedliwie i bez wysiłku. Nasze stosunki z nierozumiałościami są znacznie bardziej osobiste i wymagają niewspółmiernie większego zaangażowania duchowego niż obcowanie z wszelakimi zrozumiałościami (które zresztą też mają swoje tajemnice).

Krzywdzi się nierozumienie uważając, że jest ono równomiernie płaską szarością, pozbawioną jakichkolwiek odcieni, deseni, wypukłości czy wklęsłości. A przecież spotykamy się nie tylko z różnorodnymi rozumieniami tego samego, nie popadając w zdziwienie; różnorakie i wielobarwne bywają również nierozumienia. Czyjaś wypowiedź może być nierozumiana na wiele odmiennych – i nierównowartościowych – sposobów. Są však nierozumienia różnej klasy: produktywne i jałowe, odkrywcze i banalne, totalne i aspektowe...

Czy nierozumienie nie wzmacnia niezależności uczestnika komunikacji? Z pewnością przynosi szansę wolności od tego, co domaga się od niego rozumienia. Pozwala mu pozostawać na zewnątrz cudzych oczekiwań, nagabywań i wpływów; nie musi tłumaczyć się, ani wybaczać. Nie rozumiejąc, powraca poniekąd do siebie i zdaje się na siebie. Wiedział to Białośzewski:

w obcym kraju
w nieznanym języku [...]

– tracisz
aleś zwierzęco wolniejszy
cicho idź
cicho bądź

(z wierszy amerykańskich)

<http://rcin.org.pl>

Sławiński Bez przydziału

Korzyści płynące z nierozumienia cudzych wypowiedzi, a więc czerpane w sytuacji odbiorczej, mobilizują w nas nieraz chęć, by również w roli nadawcy odgrodzić się od partnerów własną niezrozumiałością, schronić się w niej i bezpiecznie zaczekać, co dalej będzie. Wielka to pokusa: z premedytacją zaprogramować swoją niezrozumiałość dla innych!

14 III 1988

*

Wbrew szlachetnym wzmówieniom filozofii dialogu *ego* nie utwierdza się wyłącznie przez niewygasającą wołę porozumiewania się – przez usługą otwartość na cudze wypowiedzi; w niemniejszym stopniu przez nieustępliwą – a nawet niezycziwą – odmowę komunikacji, niechęć do wsłuchiwania się w to, co inny miałby nam do powiedzenia i „odwrócenie się tyłem”. Czy „ja” to byt składający się jedynie z dziur, otwarty na wszystkie strony, oczekujący, by ktoś się w nim łaskawie zagnieździł? Bywa także ścianą, przeszkodą stawianą natrętom, oporem, zamkniętością...

8 X 1986

*

Jeśli rozumiemy tekst, to po co go dalej interpretować? Czy tekst zupełnie nierozumiany może być interpretowany? Czy tekst zinterpretowany staje się *eo ipso* zrozumialszy? Czy więc brak interpretacji tekstu obniża poziom jego rozumienia?

Intuicyjnie wydaje się niesporne, że rozumienie jest procesem bardziej elementarnym od interpretacji. Najpierw rozumieć, potem interpretować – tak mówi zdrowy rozsądek. Każdy zdąża ku jakiemuś rozumieniu lub nierozumieniu; tylko niektórzy odczuwają następczą potrzebę interpretowania – i tym ich mniej, im bardziej przybiera ona charakter proceduralny.

W dzisiejszej hermeneutyce występują dwa konkurencyjne pojmowania relacji między tymi procesami:

a) jedni traktują interpretację jako *p o p r a w i o n e* rozumienie tekstu, jako korygowanie błędów czy niekonsekwencji rozumienia, jako jego doskonalenie, sublimację, umacnianie, uszlachetnianie etc.;

b) dla drugich rozumienie jest nieznośnym uwiązaniem lektury w immanencji tekstu; dopiero interpretacja nie licząca się z wymogami jego „naturalnej” semantyki, swobodnie wybierająca sobie własną perspektywę, może dać czytaniu *w o l n o ś ć* od przymusów rozumienia.

13 V 1995

*

Na czym polega *s k u t e c z n o ś ć* mojej wypowiedzi do kogoś zwróconej? Najprostsza odpowiedź: na tym, że zdołam go skłonić do poglądu czy sposobu myślenia, które chciałbym upowszechnić wśród innych. Czy jednak nie bardziej na

Fragmenty

tym, że potrafię uruchomić w nim proces rozwijania *j e g o w ł a s n y c h* myśli, nawet jeśli byłoby na kilometry odległe od moich? Ze je w nim zdołam wywołać? Ze go zainspiruję do pójścia ścieżką osobną? Kładąc nacisk na tę właśnie możliwość, zwracamy uwagę na rolę wypowiedzi jako *b o d ź c a* w komunikacji, zsuwając na drugi plan jej rolę jako metody dogadywania się partnerów, czyli ujednoczenia ich poglądów. Z tego punktu widzenia bardziej skuteczna (silniejsza jako bodziec) byłaby wypowiedź budząca nieskrywany sprzeciw lub niezrozumienie mego rozmówcy niż wypowiedź mogąca liczyć na jego rozumienie i akceptację.

11 X 1983

*

Integralność i spójność jako „ja” możesz zdobyć i utrzymać jedynie *p o z a* komunikacją. Pojawienie się w polu widzenia innych – wraz z ich spodziewaniami, potrzebami i roszczeniami komunikacyjnymi kierowanymi do ciebie – sprawia, że musisz podjąć zubażające cię na jakiś czas zobowiązania. Chcąc nie chcąc, wchodzisz do gry, która rozmienia cię na drobne. Nieuchronnie rozczepiasz się w niej na różne aspekty, role, maski; tracisz swoją całościową „logikę wewnętrzną” i poczucie identyczności. Twoje *ego* ulega destrukcji, podlegając mniej czy bardziej chaotycznym relatywizacjom do aspektów, ról i masek innych z tobą współpracujących. Kiedy potem zejdziesz z drogi, będziesz mógł na powrót popracować nad swoim scaleniem, czyli ocaleniem. Gdybyś musiał komunikować się nieprzerwanie – w ogóle by ciebie nie było.

25 VIII 1984

*

Najbardziej elementarne rozwarstwienie tekstu (w jego wymiarze komunikacyjnym, a nie morfologicznym):

1) to, co stanowi w nim twardy – relatywnie – grunt, na którym rozgrywają się zdarzenia słowne, scenerię owych zdarzeń – równomiernie bliską kompetencji językowej podmiotu i odbiorców tekstu, znaną im, a zarazem jednako od nich oddaloną, należącą do wszystkich, więc niczyją. Łatwo się w niej odnajdują i spotykają, gdyż reprezentuje wspólny język, którym władają i który nimi włada, gdy próbują coś sobie nawzajem werbalnie przekazywać. Język w szerokim sensie, obejmujący nie tylko słowa w znaczeniach mniej więcej jednakowo przez nich rozumianych i schematy składniowe, ale też tekstowe stereotypy (gatunki mowy) i ramy modalne. Z tego tła wyrzynają się – niczym wypukłości reliefu – dwie kolejne warstwy, które zresztą niekoniecznie muszą uzyskiwać odrębne uwyrażnienia tekstowe;

2) chodzi o poziom słów i sformułowań traktowanych przez *ego* jako *n a j b a r d z i e j w ł a s n e* w jego tekście, obciążone przezeń ponadzwyczajnym potencjałem znaczeniowym, mające ściągać na siebie uwagę odbiorcy, kierować go ku właściwemu chwytaniu intencji autora. Są to słowa i sformułowania, które w wy-

powiedzi mówionej staramy się wzmacniać akcentowo lub intonacyjnie, oratorsko je uniezwykłać, a pisząc – dopomagać im wytłuszczeniem, spacją czy kursywą. Reprezentują one najsilniej osobisty leksykon podmiotu: na nich mu szczególnie zależy i za nie bierze pełną odpowiedzialność;

3) trzeci poziom tworzą słowa i sformułowania traktowane jako w rozmaitej mierze *n i e - w ł a s n e*, cudze, a nawet całkowicie obce podmiotowi. Faktyczny lub potencjalny cudzość sytuuje je zawsze w jakiejś odległości od niego. Może to być dystans autonomii tego, co cytowane i wyraźnie innopodmiotowe, należące do kogoś, z kim się zgadzamy lub spieramy; i jakkolwiek fakt zacytowania zawsze wiąże się z zaborczymi zamiarami cytującego, który bierze w niewolę fragmenty innopodmiotowego tekstu, to przecież nie przekreśla tym samym ich bytowej odrębności w obrębie tekstu własnego. Ale może to być także – na drugim biegunie – całkowite wchłonięcie cudzej wypowiedzi przez jej streszczanie, omawianie, przywoływanie w mowie zależnej czy parafrazowanie. Najtrudniejsze do charakterystyki są nieskończenie wielorakie przypadki pośrednie, w których występuje chwilowe zawieszenie odpowiedzialności podmiotu; używa on słów lub sformułowań cudzośćowych nie po to, by uszanować odrębność wypowiedzi kogoś innego, ale po to, by zasygnalizować brak bezwarunkowego zaufania do tego, co sam chciałby głosić, brak pełnej wiary w miarodajność własnej wypowiedzi. Jego intencje znaczeniowe są w takich odcinkach tekstu nacechowane niezdecydowaniem: mówi coś, ale nie całkiem na serio, niedokładnie to, co pragnąłby powiedzieć, ale na próbę coś zaledwie przybliżonego; w miejsce nazwań dających się pojmować literalnie stawia tymczasowe określenia metaforyczne; mówienie od siebie przysłania mówieniem nie-wiadomo-czym...

Nieprzerwana współgra tych warstw i związanych z nimi nastawień tekstotwórczych jest czymś naturalnym, jednak zdecydowana przewaga którejś z trzech sił prowadzi do wykolejenia procesu komunikacji. Nazbyt daleko posunięta uległość „ja” wobec scenerii językowej może sprawiać, że tekst nijakżeje, wsiąkając jak gdyby w tło wspólnego języka. Łatwo wtedy popada w służenie banalności i komunałowi. Z kolei niepohamowana zachłanność *ego* w naznaczaniu piętnem wyjątkowej ważności zbyt wielu miejsc w teście – powoduje, że ważność ta pada ofiarą inflacji, a więc powszednieje i przestaje być zauważalna w należytych stopniu. Wreszcie chaotyczny rozrost sfery cudzośćowej w teście spycha w stan nieokreśloności podmiot jako gwaranta zwierzchniego sensu tego, co zostaje powiedziane.

25 II 1977

*

W młodości (przed trzydziestką) dość ciężko przechodziłem (w tym wieku raczej zwyczajną) chorobę cudzośćową. Długo nie umiałem stawić jej czoła, gdyż wtedy w ogóle jeszcze nie byłem świadom, że jest to choroba; trudno więc, bym mógł rozważać sprawę leczenia.

Doświadczałem jej jako swego rodzaju uzależnienia: ilekroć przy opisywaniu czegoś lub formułowaniu poglądu na coś musiałem użyć słów czy wyrażeń choćby

Fragmenty

w najmniejszym stopniu niekonwencjonalnych w danym kontekście, natychmiast odczuwałem nieodpartą potrzebę usprawiedliwienia ich asekuracyjnym cudzysłowem. Zawsze czekał na mnie spokojnie w pobliżu, niczym pigułka uspokajająca w podręcznej fiole. Ale – z drugiej strony – gdy nie do zastąpienia okazywały się słowa najzupełniej konwencjonalne – obiegowe terminy, spowszedniałe nazwy, utarte powiedzenia – potrzeba cudzysłowu stawała się dla mnie odczuwalna w podobnej mierze. Wychodziło na to, że usprawiedliwienia wymaga tyleż niezwykłość, co zwyczajność elokucji. Tak samo nawet nieśmiałe próby oryginalnego wysłowienia, co okazy wysłowień zbanalizowanych. Czyli – wszystkie niemal słowa, które decydowałem się umieszczać w tekście. Bez cudzysłowu jawiły mi się jako twory niekompletne, nieubrane w należyty sposób – jakby ktoś wychodził na miasto w samych kalesonach. Jeśli coś mnie hamowało w tym przymusie nieumiarkowanego zagęszczania cudzysłowów, to tylko błahy w końcu względ na graficzny wystrój strony, żeby nie wyglądało, że została popszczona muszymi odchodami.

Z czego brał się przymus? Kiedy po latach ustąpił, pojąłem, że stanowił manifestację głębszego schorzenia – duszy, czyli umysłu. U podstaw – tak sobie dziś tłumaczę – znajdował się lęk przed definitywnością samego siebie jako podmiotu, który się wypowiada.

Taka definitywność dwojako nam bowiem zagraża. Mówiąc bezpośrednio, że coś się ma tak, a nie inaczej, bierzemy na siebie całkowitą odpowiedzialność za wyrażoną opinię, która wszak może zderzyć się czołowo z opinią konkurencyjną kogoś innego i okazać się mniej od niej trafna czy interesująca. Obawiamy się takiej ewentualności, wybieramy przeto (nawet całkiem bezrefleksyjnie) bezpieczniejszy wariant wypowiedzi upośrednionej, proponowanej warunkowo i przypisanej jakiemś „nie-w-pelni-ja”, które pozwala nam na wszelki wypadek ograniczyć własną odpowiedzialność za to, co zostaje powiedziane. Rozstawiając w tekście cudzysłowy, z góry niejako oświadczamy: tu przebywam tylko chwilowo i połowicznie, naprawdę jestem gdzie indziej, ale nie powiem, gdzie. To raz. Po wtóre, definitywność oznacza dla podmiotu zagrożenie w tym sensie, że go nieuchronnie zubaża, odcinając od możliwości bycia innym. Wpadnie w nią niechybnie jak w pułapkę, jeśli nie połapie się w porę, co jest grane. Bojąc się uwięzienia w jednoznaczności, czułem się więc w obowiązku uwieloznacznienia siebie, do ciągłego sygnalizowania, że jest mnie więcej, niż można by z pozoru sądzić, że składa się na mnie całe grono współpodmiotów, które wszystkie – gdy się wypowiadam – dopominają się z ukrycia udziału w mojej-niemojej wypowiedzi. O całym tym zamieszkującym we mnie towarzystwie wzajemnej adoracji nieustannie napomykałem swoimi cudzysłowami, żywiąc bezwiednie nadzieję, że schizofreniczna ucieczka w nie-tożsamość jest tym samym, co zdążanie „ja” do wolności.

Tak czy owak, stan nieokreśloności wydawał mi się czymś nad wyraz pociągającym jako azyl dla uciekiniera z utopii porozumiewania się bezcudzysłowego.

23 VII 1998

<http://rcin.org.pl>

*

W tak zwanych międzypokach, okresach przejściowych (czy są w ogóle inne?) wypada nam współżyć na co dzień z podwójnym chaosem: z jednej strony nacierają na nas bezładnie rzeczy, sytuacje, nowe rodzaje wrażliwości i zubożenia, stany ducha, idee, które nie mają (jeszcze) nazwy, bezimienne, nieskategoryzowane; z drugiej – równie bezładnie, nazwy, którym nic (już) nie odpowiada w rzeczywistości, przestarzałe, pozbawione przedmiotowych odniesień, wyprane z uprzednich znaczeń, puste, więc bezużyteczne, żyjące jedynie siłą inercji. Ale co to za życie?

19 IX 1991

*

Milczenie jest wtórne w stosunku do mówienia – to dobrze wiadomo. Również to, że w milczeniu często nam chodzi o naśladowanie mowy (wymowne milczenie, znaczące przemilczenia), nieraz ostentacyjnie odegrane – wyszukanie uteatralizowane. Być może dałoby się wyobrazić jednostki milczenia, paralelne do jednostek mowy: jakies nie-słowa i nie-zdania; z pewnością ma ono swoje własne modalności i swoją własną prozodię: szczególne akcenty i intonacje. Niektórzy zresztą uważają że nie milczy się „w ogóle”, lecz zawsze w jakimś języku. Czyżby więc w tle każdego aktu mówiącego niemówienia znajdował się cały system milczenia analogiczny do językowo-semantycznego?

Mowę można imitować środkami samej mowy. Środkami tejsze można imitować milczenie (tego próbuje nieraz poezja). Środkami milczenia można imitować mowę. Czy środkami milczenia można jednak imitować milczenie?

Wiemy, że w pewnych sytuacjach milcząc da się wiele powiedzieć. Ze milczenie bywa nabrzmiałe potencjalną mową. Czy mówieniem da się dużo wymilczyć? Chyba tak. Gdy mówi się coś tylko po to, by nie powiedzieć czegoś innego, ominąć ogólnikiem temat istotnie interesujący rozmówcę, utopić rzecz ważną w wodzie jałowej gadaniny, kamufłować czczymi frazesami pustkę znaczeniową wypowiedzi. Wtedy mowa – nawet najobfitsza – realnie występuje w m i e j s c e milczenia.

12 XI 1995

*

Notatka Eliasa Canettiego: „Czeka na słowo, które zrehabilituje i usprawiedliwi wszystkie pozostałe”. Karol Irzykowski w liście do Stanisława Brzozowskiego – w związku z opracowywaniem stenogramów z wykładów tego ostatniego we Lwowie (październik – grudzień 1906): „W niektórych miejscach np. wprost znać jastrzębie krążenie naokoło wyrażenia i zdobywanie go wreszcie. Niech więc Pan nie psuje tego stylu”.

Obydwa cytaty, dość przypadkowo zderzone, dotyczą sprawy fundamentalnie ważnej w teorii wypowiedzi słownej. Wypowiedź – poza wszystkimi innymi jej wymiarami i przekrojami formalnymi i znaczeniowymi – stanowi też swego rodzaju

Fragmenty

opowieść, a raczej szereg mikroopowieści, o swoim narastaniu jako procesie zbliżania się podmiotu do określeń rozstrzygających, domykających i regresywnie oświeclających to wszystko, co je poprzedza w biegu wypowiedzi. Mówiąc, czy pisząc, wędruje on retardująco ku nieznanemu wprzód w l a ś c i w e m u n a - z w a n i u. Wędrowka poprzez słowa tymczasowe i lokalnym zasięgu jest równoważna czynnemu i zarazem cierpliwemu oczekiwaniu na szczęśliwy traf takiego finalnego rozświetlenia.

16 V 1996

*

Jedno z trudniejszych dla mnie doświadczeń komunikacyjnych: słuchanie, gdy przywołują moje teksty, referują je, omawiają czy oceniają. Z jednej strony irytacja, że wszystko zostaje przeinaczone, pogrubione, wyrwane z kontekstu, splaszczone, nieuważnie przeczytane, opacznie rozumiane. Do tego dołącza się zawstyżenie, że w ogóle zostałem dostrzeżony i wzbudziłem czyjeś zainteresowanie. Ale także wstyd za tych, co zaufali moim opiniom: że nabrali się, uwierzyli pozorom, wzięli za dobrą monetę wydumki, które dla mnie samego są co najmniej wątpliwe; że z aprobatą cytują zręcznie sklecone formułki, traktując je jako autorytatywne stwierdzenia. Toteż wołę już, z dwojga złego, gdy polemizują ze mną i oceniają nieprzychylnie to, co miałem do powiedzenia. Wtedy doznanie dyskomfortu i pragnienie zejścia im co prędzej z oczu stają się przynajmniej słabsze, choć nigdy nie znikają.

A przecież (jak zapewne każdy) chciałbym żeby moje wypowiedzi wywierały (nawet skromny) wpływ na odbiorców, by mogły działać inspirująco, w ogóle wchodzić w obieg myśli i być doceniane. I na tym właśnie polega dziwne znaczenie moich uczuć. Odpowiadałby mi bowiem trudny do wyobrażenia sposób przebywania wśród innych: oddziaływanie efektywne, ale niedostrzegalne; inspirowanie, ale skryte; wyciskanie własnego piętna na krążących opiniach, ale tak, by mogły dalej uchodzić za dobro niczyje. Obecność pozorowana nieobecnością. A wszystko razem – niemożliwość w stanie czystym.

24 VI 1995

*

Nie wszystko, co przyjdzie na myśl, trzeba od razu innym powiedzieć. Nie wszystko z tego, co się powie, trzeba skrupulatnie zapisywać. Nie wszystko z zapisanego trzeba bezzwłocznie publikować. Należy na każdym z poziomów pozostawić sobie przezornie coś w sferze możliwości, w zapasie – a nuż się kiedyś przyda? Nie jest wskazane śpiesznie roztrwaniać własne zasoby; bezpieczniej zachować jakąś część swojej przeszłości – na przyszłość. To miał chyba na uwadze Irzykowski, który tylekroć – niemal obsesyjnie – powracał do sprawy r e z e r w, które powinny milcząco podbudowywać i to, co się samemu pisze, i to, czego najchętniej szukamy przy czytaniu tekstów cudzych. Wypowiedź, w której nie odczuwamy

<http://rcin.org.pl>

Sławiński Bez przydziału

owych bezpośrednio niewysłowionych w niej rezerw konceptualnych, wydaje się nam płaska i dychawiczna. O tym nie wie grafoman usiłujący nadmiarem napisanego zagadać chroniczny brak rezerw w swoim pisarstwie.

15 III 1996